Nr. 50. We Lwowie dnia 12 grudnia 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

☆ BURZA. ☆

Wchłonęła krwawe słońce, sine błyskawice
Wpięła w rudych chmur włosy u groźnego czoła
I rusza niezbłagana przez niwy i sioła,
Ciskając na chat dachy piorunów gromnice.

Wyjące biczem z gromów chłoszcze nawałnice,
Spuszcza z gryzącej sfory złe wichry dokoła,
Gradu przekleństwem miota na zboża i zioła;
Lasy przed nią drżąc jęczą, jak wielkie dzwonice.

Z olbrzymich skrzydeł strząsa kurzawy, tumany,
Wlecze za sobą nagi Głód, Pomór i Klęskę —
Wielka, traw i gałęzi owinięta runem.

Straszliwą stopą kopie powodzi bałwany,
Wali odwieczne dęby w swój pochód zwycięzki —
Za nią Śmierć i Noc czarna ścielą się całunem.



☆ SŁOTA. ☆

Tłoczą nizki widnokrąg chmury szare, mętne,
W mgłach spowita, po drzewach zwisa senna nuda —
Szkli się brudnym połyskiem rozmoknięta gruda,
Rynny mruczą pod murem, jak dziady natrętne.

Płynie senność bezwładna w białawych oparach,
Lenistwo ziewa w sinym ścielącym się dymie —
Słota zaciąga mokre swe płachty olbrzymie,
Zimne dreszcze przebiegły po ziemi obszarach.

Myśl, jak zwilgły zapałek, błyśnie i wnet zgaśnie —
Czas leniwo, powoli, nieznośnie się wlecze —
Po dachu dżdży szeleszczą, jak robactwa tłuszcze.

Wiatr się zerwie i nagle porażony zaśnie —
Deszcz spokojny miarowo zwisłe liście siecze
I monotonnym szmerem bez końca wciąż pluszcze.

Stanisław Barącz.

Adam Bełcikowski.

Dramata i komedje.

Kraków 1898.

(Dokończenie).

W dziedzinie komedji nie dosiągł pan Bełcikowski tych wyżyn, które zdobyć potrafił w dramacie. Komedja wydaje się być mniej właściwem polem dla jego pióra. Djalogom brak lekkości, wątkowi szczęśliwie obmyślanych kombinacji, a przedewszystkiem niema tego, co w komedji najpierw widzieć żądamy: satyry, śmiechu, oraz nauki, co to z poza zabawy zręcznie wygląda. Niewielka też jest ich ilość, znać, że upodobanie autora rzadko w tę stronę się kieruje. „Radziwiłłowie , a mianowicie „Król-don Żuan" do udatniejszych należą. Wybitną wszakże ponad ten poziom jest komedja „Protegujący i protegowani", w której ostra satyra na stosunki obyczajowe świetnie jest przeprowadzona. Podajemy treść jej w pobieżnym rzucie oka.

Pan Czubut z wielkiem przejęciem się ważnością chwili gości u siebie krewnego swego, pana Radcę, niegdyś znakomitego nieuka, dziś trafem kapryśnej fortuny wysadzonego na wpływową posadę. Świetnie jest oddany ten mizerny urzędniczek, skaczący dokoła spanoszonego niespodzianie dygnitarza. A ten dygnitarz, to typ również znakomity, pielęgnujący siebie troskliwie, napuszony, protekcyjnie traktujący biedniejszych krewnych. Z pod powagi wielkiego męża bardzo zręcznie wygląda przy każdej zręczności mała słabostka: zbyt żywe nagabanie do ładnych twarzyczek. Kuzynek domu Staś, młody trzpiot i wielkie ladaco, jest pierwszym protegowanym, którego stryjaszek Czubut pragnie wyforytować na wakującą posadę. Każe mu zatem zalecać się i kłaniać panu Radcy; lekkomyślny jednak chłopak nie umie przejąć się ważnością tak doniosłej sytuacji i co chwila zapomina honorować protegującego dygnitarza.

Współzawodnika ma w osobie Andrzeja, młodego uczonego, narzeczonego Maryni, córki pana Czubuta. Papa Czubut jednak czuje wrodzony wstręt do ludzi „drukujących", którzy mają niewątpliwie dążność do imponowania wszystkim swoim rozumem. Zdołał prędko natchnąć tą niechęcią i pana Radcę, i obydwaj przyrzekają sobie dać kategoryczną odprawę Andrzejowi. Zjawia się trzeci kandydat na wakującą posadę. Jest nim niejaki Grzywka, ekspisarz prowentowy pewnego obywatela na wsi. Chociaż młodzieniec ten nie potrafi bez ortograficznych błędów wystylizować czułego bileciku do nieznanej sobie damy swego serca, znajduje jednak gorliwą orędowniczkę w postaci panny Domiceli, która mając pewne na nim nadzieje, pragnie mu zapewnić przyszłość. Energiczna ta niewiasta szturmem zdobywa sobie dygnitarza, zapewniwszy go o swoich wysokich stosunkach w stolicy. Wobec tak poważnych argumentów pan Radca wszelkie sprawy rodzinne na bok usuwa; protegowany zestosunkowanej panny Domiceli otrzyma niewątpliwie pierwszeństwo.

Wszakże za podobne sprzeniewierzenie się pan Czubut czuje się śmiertelnie obrażonym. Następuje niespodziewanie żywa wymiana wzajemnej o sobie opinji, poczem dotknięty pan Radca zamierza opuścić dom niegościnnego krewnego. Widząc to, pan Czubut wpada w rozpacz, a pragnąc zmusić Radcę do pozostania, zatrzymuje jego rzeczy. Sytuację wreszcie ratuje Marynia, której „kobiecy rozum" najtrafniejszą obiera drogę. Pragnąc zatrzymać posadę dla przyszłego męża, przeprowadza istną kampanję. Wykazaniem natarczywych umizgów Grzywki, stawia przeciw niemu pannę Domicelę, która mści się nad niewiernym, przerzucając się odrazu na stronę nienawistnego sobie Andrzeja; ojcu Marynia oznajmia o postanowieniu poślubienia Andrzeja i łatwo potrafia weń wmówić, że jakkolwiek los kuzynka Stasia jest godnym uwagi, wszakże bliższem być powinno zapewnienie przyszłości własnej córce i ewentualnie wnukom, które w razie niepowodzenia całym ciężarem spaść mogą na barki skłopotanego ojca. Ten ostatni mianowicie argument wzrusza tak dalece papę Czubuta, że od tej chwili czyni z niego najzagorzalszego rzecznika Andrzejowej sprawy. Samego dygnitarza ugłaskała Marynia przyjęciem kilku natarczywych umizgów, które biedna dziewczyna ze łzami wściekłości i oburzenia znieść musi. Tak najniespodzianiej przyjmują zawikłane sprawy obrót szczęśliwy, i połączenie się młodej pary kończy komedję.

Pomimo niektórych stron słabych (zbyt nagłe przerzucanie się z jednych przekonań do drugich, sztuczne piętrzenie trudności, gdzieby uniknąć ich było można — cechy właściwe wszystkim utworom autora —) „Protegujący i protegowani" mają tyle istotnych zalet, takie dosadne uchwycenie stron ujemnych, taką ostrość w zacięciu; a oprócz tego takie szczere wybuchy śmiechu wywoływać mogą, iż jedynie dziwić się należy, że nie widzimy tej komedji na deskach naszych teatrów; mimowoli nasuwa się myśl, iż może w obec odegrywa-

jącej się sztuki nie tyle ze strony widzów szczerego ozwałoby się poklasku, ile zgrzytu nożyc, jakie potrącenia stołu wywoływać zwykło.

Szeregując porządkiem czasu — o ile wspomnienia osobiste z pomocą w tem przyjść mogą — prace pana Bełcikowskiego, nie możemy nie zauważyć, iż w ostatnich latach talent jego uczynił spory krok naprzód; ujawnia przytem dużo świeżości i siły, które wątpić nie pozwalają, iż twórczość autora znajduje się w stadjum pełnego rozwoju.

Wyników dalszej pracy czekamy.

W. Dalecka.

Kartki naukowe.

(Dokończenie).

Nowe pojęcia o mikrobach stały się podstawą teraźniejszej medycyny. Rozwój jej da się podzielić na dwie wielkie epoki, niepodobne do siebie: medycyna przed Pasteurem i medycyna po Pasteurze. Zajrzyjmy do dzieł z patologji, napisanych przed temi wiekopomnemi odkryciami, a będziemy zdumieni, jak bladą i czczą jest zawartość tych starych ksiąg medycznych, ile w nich nieuctwa, ile błędów niemożliwych. Jednakże te księgi nie są bynajmniej stare, pochodzą one z 1875 lub 1880 r., lecz przy czytaniu ich wydawać się może, iż upłynęło kilka wieków od czasu ukazania się owych dzieł, a książek teraźniejszych

W przeciągu dziesięciu lat medycyna została całkowicie zburzoną i przekształconą; przekształca się ona wciąż codziennie, gdyż każdy niemal dzień przynosi odkrycie nowego szczegółu, ale zasada pozostaje wciąż ta sama: poznawanie mikrobów i nieustanna z nimi walka.

Pasteurowi przypadło w udziale jeszcze jedno odkrycie, które wieńczy jego wielką działalność naukową. Przeprowadził on szereg doświadczeń, zadziwiających swą ścisłością i w końcu dowiódł, że mikrob chorobotwórczy może być osłabiony, to jest niezdolny śmierć zadać; jednakże może on jeszcze sprowadzić chorobę, lecz niekiedy w tak słabym stopniu, iż jest zaledwo dostrzegalną. Ale osoba, dotknięta tą lekką chorobą, odnosi z niej wielki pożytek, gdyż zabezpieczoną jest od tejże choroby w silnym stopniu. Słowem, choroby można ludziom i zwierzętom z a s z c z e p i ć, aby uchronić ich od wielkich niebezpieczeństw. Powtarza się tu to samo, co ze szczepieniem ospy, dawniej wprowadzonem przez innego dobroczyńcę ludzkości, Jennera.

Wreszcie szczytem sławy Pasteura jest odkrycie sposobu leczenia wścieklizny; zjednało mu to największą popularność i wywołało wielki okrzyk podziwu i wdzięczności dla wielkiego geniusza.

F e r m e n t a c j a, z a k a ż e n i e, u d z i e l a n i e c h o r o b y i s z c z e p i e n i e, oto w czterech słowach określenie wielkiego dzieła Pasteura.

Wobec powyższych przykładów trudno zaprzeczyć, że medycyna zawdzięcza swe postępy naukom doświadczalnym, że rozwój nauk bjologicznych wprowadził i medycynę na drogę naukową. Widzieliśmy, jaki dobroczynny wpływ wywarły teorje mikrobowe na postępy chirurgji; dzięki nim setki tysięcy ludzi są wyleczane rok rocznie z takich chorób, które najczęściej bywały śmiertelne przed 1868 rokiem.

Uczeni, widząc odrodzenie medycyny, z większym jeszcze zapałem wzięli się do pracy i w ostatnich latach obdarzyli sztukę lekarską nowemi wielkiemi odkryciami. Z pomiędzy nich wymienimy tylko najważniejsze: znaczenie gruczołu t a r c z o w e g o, promienie Roentgena i leczenie surowicą.

Za pomocą szeregu doświadczeń wykryli uczeni, iż wyciąg z gruczołu tarczowego leczy kretynizm, chorobę zwaną w o l e m oraz otyłość.

Odkrycie fizyka Roentgena wzbudziło ogólny entuzjazm, wynaleziono bowiem nagle sposób z o b a c z e n i a, jakiem cierpieniem wewnętrznem dotknięty jest chory.

A cóż dopiero mówić o leczeniu surowicą! Nauka obdarzyła medycynę nowym środkiem leczniczym, którego klinika, pozostawiona własnym siłom, nigdyby zdobyć nie mogła. Dzięki udoskonaleniom dr. Roux od 1894 r. dyfteryt przestał być groźnym, wówczas gdy dawniej umierała połowa dzieci, zapadłych na tę straszną chorobę.

Gdzie tylko się zwrócimy, wszędzie widzimy, że medycyna zawsze wspieraną była przez naukę doświadczalną. A spodziewać się możemy, iż ów związek między medycyną i nauką stanie się jeszcze ściślejszym w przyszłości. Jednakże lekarz i uczony mają wręcz odmienne role. Lekarz z konieczności musi być konserwatystą, nie ma on prawa robić doświadczeń na swych chorych i próbom poświęcać życie ludzkie. Z tego powodu lekarz w małym jedynie zakresie posuwać może naukę. Stosuje on przepisy, które otrzymał w szkole, a zarazem śledzić powinien postęp nauki, aby wyciągnąć z nich pożytek dla swych chorych.

Uczony przeciwnie, ma za zadanie zgłębiać nowe prawdy, musi być przeto rewolucjonistą. Nie może on zadowolnić się przepisami, otrzymanymi w szkole; zdanie mistrza nie powinno krępować jego umysłu. Obowiązany jest szukać dokoła nowych faktów i uważać za możliwe nawet to, co się wydaje nieprawdopodobnem. Bez tego umysłu awanturniczego, bez tej odwagi naukowej, otwierającej nowe horyzonty, niema postępu.

Niesprawiedliwym więc byłby zarzut, czyniony lekarzom i chirurgom, iż nie robią wielkich odkryć naukowych, gdyż to nie jest ich zadaniem. Koją oni ból ludzki i szukają nowych sposobów, mogących ulżyć, lub uleczyć chorych.

Nie istnieje tedy żaden antagonizm między medycyną a nauką, jakto niektórzy utrzymują; niema też powodu twierdzić, że jedna z nich jest wyższą lub niższą od drugiej Są one odmienne tak-co do środków, jak i co do celu, lecz wzajemnie się dopełniają i obie są zarówno niezbędnemi.

Dr. M. Stefanowska.

W GÓRACH KAUKAZU.

(Ciąg dalszy).

Nagle przewodnik znikł im w szparze, wyżłobionej przez wodę na krawędzi urwiska. Paweł zajrzał tam za nim i zobaczył miejsce ciasne, jak studnia, po którem trzeba było wędrować, opierając się kolanami i rękami o przeciwne ściany. W samem wcięciu woda płynęła nikłym strumieniem, boki były wilgotne, ale innego przejścia nie było. Urwisko wody podmyły, ściany jego pochyliły się naprzód, a po bokach sterczały zupełnie gładkie skały. Nie było więc wyboru. Zresztą nie namyślali się nawet. Wesoło, jak górnicy w szybie, zaczęli się spuszczać, a choć woda moczyła im odzież, zalewała twarz i ręce, gotowi byli żartować i śmiać się. Powstrzymywały ich tylko tajemnicze okrzyki Piotra.

— Ciszej!... Cicho! mówię.

Naraz Piotr zeskoczył i znikł za zrębem.

— Chodźcie-no!... chodźcie!... tylko cicho.. — wołał półgłosem, nachyliwszy się nad małem wgłębieniem, gdzie błyszczała woda i żółcił się pasek gliny.

— Patrzcie! były dziś rano.

Wszyscy nachylili się, by lepiej obejrzeć wązki odcisk koziej nóżki.

— Kozice!

— Nie, żerany!... Tędy schodzą... tym „jerekiem *)".

Piotr wskazał im dzikie, strome wąwozisko, zbiegające pod kątem do głównego przesmyku

— Chodźmy!... Trzeba miejsce obejrzeć... Tylko nie ważyć mi się stukać!...

Trochę dalej „jerek" rozszerzał się i tworzył kotlinę o prostopadłych ścianach. W ścianie przeciwległej na wysokości dziesięciu sążni widać było otwór, jak brama, wyrzeźbiony przez wody. Biała, poszczerbiona masa wapnia wyginała się, tworząc występ w kształcie balkonu, poza którym w głębi ukazywały się jeszcze dziksze, jeszcze bardziej spiętrzone skały.

— Ach, gdyby tu wyszedł!... Co za strzał!.. — błagalnie wyszeptał Kolüś.

— Tędy też one chodzą. Zabiłem tu jednego.

— Skaczą?... Z takiej wysokości?...

— O nie! Tu mają swoją drożynę, po której i my pójdziemy.

Piotr wprowadził ich na ścieżkę pod skałą, z którą w porównaniu „czerkieski szlak" wydał się Pawłowi dobrze utrzymanym gościńcem. Najtrudniejsza była jednak przeprawa w samych już wrotach u węgła skały, który trzeba było objąć rękami i, nie patrząc, przeskoczyć z krawędzi na krawędź.

— Odrazu zrozumiałem Kaukaz! — zaśmiał się Paweł, stanąwszy na przeciwnej stronie. — Ciekawym tylko, jak tu będziem przechodzili w nocy.

Następne wydrążenie „jereku" przedstawiało podobną do poprzedniej kotlinę, tylko boki jej nie były już tak strome i nie z jednolitej skały, lecz z kamiennych utworzone osypisk. Zamykała ją ścieżka górska, ciemnym wężykiem pnąca się na szczyt, pokryty śniegiem. Gdzie okiem rzucić, głazy szare, czerwone i czarne, mchy, liszaje, nikłe trawy; a ponad tem wszystkiem wązki pas ciemnego boru na zrębie; wyżej zaś jeszcze jasne i ciepłe niebiosa.

— Tu siądziemy. Jeżeli się dobrze sprawimy, całe stado do kotliny, jak w pułapkę, wpadnie. Można ani jednej nie wypuścić... Do wody zbiegają po prawej stronie: pamiętajcie po prawej!... !... Wieczorem ani słowa nie powiem. A teraz marsz do domu!... Tyle tylko mamy czasu, żeby zjeść obiad i wracać!

* * *

Nie znaleźli Marji na podwórzu, więc korzystając z jej nieobecności, pozdejmowali przemoczone kurtki oraz bluzy i porozwieszali, aby wyschły; sami zaś schronili się do wązkiego

*) Jerek — wąwóz podobny do kotliny.

szałasu i wyciągnęli na ławach. Tylko Paweł pozostał u ogniska.

Ogień ledwie się tlił; w przykrytych skrawkami blachy garnczkach coś syczało i bulgotało zlekka; na popiele znać było ślady lekkich dotknięć, na ścieżce odciski niedużych, bosych nóg. Z gaju dolatywał trzask łamiących się gałęzi i czyjeś wołanie. Paweł wstał i zwolna skierował się w tę stronę Marja dostrzegła go zdala i coprędzej wypędziła bydło z zarośli. Młody człowiek zatrzymał się. Rozpierzchłe na jego widok krowy zwróciły ku niemu wystraszone łby, źrebię, jak pies, idące za dziewczyną, podbiegło i bez ceremonji zaczęło obwąchiwać mu kieszenie i skubać za odzież. Paweł pogładził je machinalnie, nie spuszczając z dziewczyny pytających oczu. Ona przeszła mimo niego, kręcąc w ręku gałązką.

— Panno Marjo!... Maryniu!... Czy pani istotnie nie chce?... Pani nie słucha...

— Owszem, słyszę!... Wróciliście wszyscy?... Czy znaleźliście „żyrany?"... może na niedźwiedzia wybierzecie się?... Jak się panu podobały „szczeliny?..." Prawda, tam ładnie... Dotychczas nie byłam tam, a przecież to tak blizko!... Zawsze brak czasu.. roboty tyle!... Niedługo przyjdą cieśle dom mieszkalny budować, a z niemi powiększy się liczba stołowników... Moich muszę też obszyć, wydarli się ze wszystkiego... Trzeba owoców na zimę nasuszyć, orzechów nazbierać, a ja tu jestem sama.. Rąk nam bardzo trzeba... Te drobiazgi takie na pozór błahe, a tak jednak ważne, tam szczególniej, gdzie z niczego coś ma powstać..

— Panno Marjo, w tych dniach odjeżdżam...

— Słyszałam. Niech pan z łaski swojej zawoła ich na obiad...

Paweł popatrzył na nią długo i odrzucił daleko listek, trzymany w ręku.

Po chwili z szałasu jeden za drugim wyszli: Piotr, Koluś i Stefek, odziawszy się przyzwoicie i przygładziwszy rozczochrane czupryny. Obiad podano na dworze pod rozłożystym dębem. Kasza jęczmienna ze słoniną wydała im się przedziwną po takiej przechadzce Herbaty wypili nieobliczoną ilość szklanek. Ale przez cały czas milczeli wszyscy z wyjątkiem Marji, która rozpytywała Kolusia o szczegóły życia na kolonji. W końcu zabrała go do szałasu, aby mu coś pokazać; Stefek poszedł z niemi. Piotr milczał, jak zwykle, Paweł w roztargnieniu błądził wzrokiem po okolicy.

— Co pana skłoniło tu zamieszkać? — zapytał nagle Piotra.

— Co skłoniło?... Doprawdy nie umiem panu powiedzieć!... Chore sumienie... tak się to podobno nazywa...

— Po skończeniu instytutu służył pan na kolei, potem gdzieindziej, a ostatniemi czasy był pan pisarzem gminnym...

— Istotnie... próbowałem tego i owego... ale... nie wytrzymałem... Zawsze robiłem nie to, co trzeba!... Kruszyna pożytku, a moc złego!.. Strata sił, błąkanie się myśli... A zawsze to samo: ogrom cierpienia, wobec którego czujesz się bezsilnym... znużenie, tęsknota i taki nieraz wstręt do samego siebie, że do mysiej schowałbyś się jamy...

— A teraz.. pan nie tęskni?

— Nie!...

Uśmiechnął się i zarumienił lekko. Twarz jego wyrażała prostotę z odcieniem spokojnego, lecz świadomego siebie smutku. Paweł nie wypytywał go więcej. Wróciła też młodzież i zaczęła naglić do pośpiechu.

— Lepiej dłużej posiedzieć na miejscu, niż wystraszyć zwierzynę...

— Zapewne... zapewne!...

Puścili się tą samą drogą, ale bez poprzedniego ożywienia i bez przygód. O zachodzie słońca byli już w kotlinie i, nie tracąc czasu, zaczęli drapać się na skały, aby zająć wyznaczone stanowiska. Paweł został na pierwszym wyłomie, gdzie zioła i krzewy tworzyły naturalne schowanie. Siadł na samym brzegu otchłani, na pniu drzewa, zwieszonego nad głębią, skąd wybornie widać było kotlinę i wygodnie strzelać. Inni poszli wyżej i kolejno znikali w szparach lub za głazami. Słońce schowało się za góry; szary zmierzch, podnosząc się z dołu, powoli gasił barwne blaski. Rumieniły się już tylko szczyty urwisk, zwrócone do zorzy. W „szczelinie" panowała cisza, ale na wyżynach słychać było, jak z każdą chwilą potężniał wicher, jak giął i kołysał drzewami, rosnącemi bliżej szczytów.

Paweł zerwał kwiat lilji, co z zasypanej ziemią szczerby wysuwała swój kielich ku niemu, i w zadumie poniósł go do ust. Czuł, że mu w duszy coś drży, coś umierać nie chce.

Rój żółtych liści przeleciał nad przepaścią i, kołując, znikł w głębi. Nie, on tak nie odejdzie! Jeszcze raz musi zobaczyć jej twarz wzruszoną i drżące usta, dotknąć ręki i zamienić słów kilka, wolnych od wszelkiego przymusu... Teraz będzie lepiej... Nikt nie zauważy, a i ona nie spodziewa się go... Trzeba zejść, nie strąciwszy kamyka, by nie spłoszyć, nie zwrócić uwagi... Wiatr mu sprzyjał: huczał coraz głośniej i zrzucał na dół już nie tylko liście, ale i kamienie. Serce biło mu gwałtownie. Pragnienie było tak silne, że zerwało wszelkie tamy — przestał rozważać. Zsunął się na dół i ostrożnie, jak cień, zaczął się przekradać między skałami. Na trudnych przejściach było mu trochę nieprzyjemnie samemu. Parę razy zabłądził w wąwozach. Raz, gdy kamień wysunął mu się z pod nóg, zawisł w pół ciała nad przepaścią i długo szukał rękami po gładkich płytach, zanim znalazł, o co się zaczepić. W owej chwili zimny dreszcz

przebiegł mu po plecach, jak gdyby ogromny, czarny ptak powiał nań skrzydłami. Przed oczami jego duszy przemknęły obrazy zalanych słońcem winnic, przesunęły się postacie kolonistów i odżyło wspomnienie pierwszego widzenia z tą dziewczyną, która taką władzę nad nim posiadła. Ale stanąwszy na ziemi twardą nogą, o strachu prędko zapomniał i myślał tylko o tem, żeby nie zbłądzić w ciemności. Gdy doszedł do miejsca, gdzie nadłamana gałąź krzewu oznaczała powrót ścieżyny w górę, serce mu się ścisnęło. Gdybyż choć wietrzyk powiał, możnaby z jego podmuchów wnioskować o kierunku!.. Nic, tylko ciemności nieprzebite i martwy spokój!... A tymczasem tam w górze po gałęziach przelewała się burza!... Pod kolumnadą lasu odrazu jak gdyby oczy stracił. Szedł z wyciągniętemi naprzód rękami i łowił gałęzie, które biły go po twarzy, plątały się między nogami, a pojawiały się zawsze z tej strony, z której najmniej się ich spodziewał. Raz w tej przepaścistej ciemności zabłysły nagle zielonawe ogniki; chwycił za broń, gotując się bronić życia, tak mu obecnie drogiego. Był pewien, że to ryś lub jaki inny drapieżnik; ale w miarę jak się zbliżał, ognie gasły, a dalej, wśród traw i liści ujrzał ich rój cały. Były to więc świętojańskie robaczki! — i wśród tej wielkiej ciemności zrobiło mu się raźniej. Darł się pod górę przez krzewy, pnie i wykroty, starając się z prostej linji nie zboczyć. Zmęczył się strasznie; pot zalewał mu czoło, nogi odmawiały posłuszeństwa, przysiadł więc na pniu. Ale zerwał się w tej chwili, powstrzymując mimowolny okrzyk: usłyszał dobrze znane głosy, płynące zdala: było to szczekanie psów. Wahał się jednak, nie był jeszcze pewien: mogło to być i skomlenie szakali. Stał więc i czekał z wytężonym słuchem. Głuche, miarowe ujadanie doleciało powtórnie jego uszu... Nie, tak nie skomlą szakale!.. A więc nie zbłądził! osada blizko!... Zmęczenie uleciało bez śladu.. Ruszył raźno przed siebie. Po jakimś czasie światełko osady zamigotało o paręset kroków. Psy ujadały zaciekle. Zawołał na nie, uspokoił i cicho podszedł pod szałas. Przez niedomknięte drzwi zobaczył bukiet kwiatów i lampę, zapaloną na stole, a w cieniu na poduszkach — głowę dziewczyny. Trzymała książkę, ale jej nie czytała; oczy, utkwione w przestrzeni, ścigały inne, w myśli powstałe obrazy. Szmer u drzwi zbudził ją z zadumy. Podniosła głowę i usiadła na posłaniu.

— Kto tam?... Pan!... pan!...

— Tak, ja?.. Uciekałaś mi Maryniu... Obiecałem, ale.. nie mogę! Ostatni raz!.. przecież ja wkrótce odjadę!...

Milczała, spuściwszy oczy. Paweł usiadł naprzeciw niej na niziutkim stołeczku.

— Oni tu zaraz przyjdą... a ja mam tyle do powiedzenia!.. Chciałbym nagadać się za całe życie. Przecież to już nie powtórzy się!...

— Dlaczego pan odjeżdża z kolonji?.. — spytała podnosząc nań drżące powieki. — Przecież je odeszłam umyślnie, by nie przeszkadzać...

— Nie dlatego też.. Jużeśmy o tem mówili... Ciasno mi i duszno tutaj.. tęsknię... a gdy ciebie nie stało!...

(Dok. nast.). *Wacław Sieroszewski.*

Dziennikarstwo angielskie.

Równie jak potęga i rozwój angielskiego przemysłu i handlu, jest znaną powszechnie rzeczą znaczenie prasy angielskiej, jej wszechstronność i obfitość treści, jej energja i pomysłowość, jej patrjotyzm i wybitny charakter narodowy. Sławne są czyny jej sprawozdawców wojennych i pokojowych, takiego Archibalda Forbesa, unieśmiertelnianego nawet w powieściach, takiego Blowitza, Henryka Normana i innych. Fakt, że co najmniej tuzin angielskich i szkockich dziennikarzy należy do parlamentu, pominąwszy, iż niemal wszyscy deputowani irlandzcy są nimi, niesłychane rozpowszechnienie wielkich pism londyńskich, wszystko to jest niezachwianem świadectwem potęgi i wpływu angielskiej prasy. Jestto wychowanka demokracji, z której zwycięstwa urosła wielką i której niezatarte rysy nosi na sobie. Mniej więcej też z ostatecznem dokonaniem się demokratyzacji angielskiego społeczeństwa i konstytucji, z początkiem ósmego dziesiątka lat, możemy oznaczyć nową epokę w rozwoju prasy angielskiej.

Początkowo zadaniem dzienników angielskich było podawanie nowinek. Z wzmożeniem się życia politycznego i spotęgowaniem się zawziętości walk partyjnych wysunęło się naprzód dążenie jej do obrabiania opinji publicznej. Redaktor poczuwał się wobec społeczeństwa do roli nauczyciela, a filister przyzwyczaił się do tego, aby co rana przy kawie powiedziano mu, co ma myśleć o bieżących kwestjach. Z zadowoleniem wyczytywał długie aż do utraty oddechu artykuły, jak poświęcającym się i patrjotycznym jest on sam i jego zwolennicy, a coza łotrami i głupcami są członkowie partji przeciwnej. Co prawda, ta stara, dobroduszna metoda nie wymarła jeszcze całkiem, czego dowodem moralizujące wstępne artykuły, jakie pomieszcza „Times“ (na polskie znaczy „Czasy“) ale na ogół prasa coraz

bardziej powraca do swego pierwotnego zadania: podawania nowości.

Publiczność wyszła z niemowlęctwa. Nie domaga się już gotowego sądu, tylko materjału, aby samej sobie wyrobić mniemanie; lubi pewną bezstronność, mimo, że najczęściej tylko pozór jej otrzymuje. Dlatego to wstępują np. zwięzłe polityczne notatki w miejsce łokciowych wywodów, fakta w miejsce refleksji. To jest główny rys, założonych w ostatnich czasach czasopism, jak np. przekonuje o tem pierwsze już spojrzenie, rzucone na szpalty tego roku otworzonych dzienników „Daily Courier", „Daily Mail" (Codzienna Poczta) na większość pism wieczornych: „Star" (Gwiazda), „Sun" (Słońce), „Evening News" (Wieczorne nowiny), „Echo" itp., a w ogóle na pisma o tzw. kurjerowej metodzie redagowania.

Dalszy postęp dotyczy treści pism. Prasa angielska wprawdzie od dawna prócz polityki traktowała wszystkie inne objawy narodowego życia: a więc handel, przemysł, naukę, literaturę, sztukę, teatr i sport i to w gruntowny sposób, jednak w przeciwieństwie do prasy kontynentalnej nie miała wcale fejletonu. Dopiero nowszych wiele dzienników poczęło pomieszczać nietylko krótkie opowiadania, ale też idące „dalszymi ciągami" powieści. Nawet czcigodna prababka angielskiej prasy „Times", nie uważa tego niżej swej godności, że przynajmniej w tygodniowem wydaniu, które jest streszczeniem i wyborem najlepszych artykułów z numerów całego tygodnia, drukuje także powieści. Zmiana ta jest objawem niewątpliwym wzrastającego wpływu kobiet, które też rozprawy na temat mody wprowadziły do szpalt dzienników.

Także objaśniania artykułu obrazkowem postawieniem rzeczy nie odrzuca najnowszy kierunek dziennikarstwa. Bywają więc ilustrowane polityczne dzienniki jak „The Daily Graphic" i inne, które pomieszczają ilustracje stale, lub sporadycznie, bądź to jako polityczną karykaturę, bądź jako proste objaśnienie. Karykatury np. znanej liberalnej „Westminster Gazette", jednego z najbystrzejszych pism wieczornych, w ostatniej kampanji wyborczej odgrywały wielką rolę, mimo, że niezdołały zmienić ostatecznego wyniku. Z nadających ton pism porannych „Daily Chronicle" podaje najczęściej ilustracje. Powstałe w ostatnich latach tanie półpennowe dzienniki poranne, jak „The Morning Leader" (Przewodnik poranny) są też po części bogato ilustrowane.

Powiedziano już, że stosunek wielkiej niewiadomej, jaką przedstawia dziennik, względem publiczności, doznał zmiany. Publiczność jest do pewnego stopnia współpracownikiem swojego dziennika. Redaktor więc, zamiast narzucać czytelnikom swoje mniemanie, zbiera, sumuje i podaje opinję ogółu, co w ślad za pismami angielskiemi, poczynają robić dzienniki w innych krajach, a nawet polskie pisma postępowe. Kiedy przed dwoma laty angielskie stronnictwo postępowe poniosło klęskę, poczęły się we wszystkich postępowych pismach pojawiać zapytania na temat przyczyny tej klęski. Kierownicy bowiem opinji publicznej uczuli potrzebę nawiązania na nowo przerwanej nici porozumienia ze znaczną częścią narodu. A nigdy jak wtedy nie okazał się w większej świetności praktyczny i rozumny zmysł angielskiego liberalizmu. To spokojne i odważne badanie samego siebie, jest niezawodną rękojmią przyszłego zwycięstwa. Wogóle podobne korespondencje zapełniają dzienniki przy każdej ważnej politycznej okoliczności, np. świeżo przy roztrząsaniu projektu ustawy o szkołach ludowych; jeśli chodzi o stosunki społeczne, strajki, położenie robotników, zakłady miejskie itp. — „Times" tu świeci dobrym przykładem a w jego łamach najpierwsi ludzie kraju, wynurzają swe zapatrywania. Częstokroć te korespondencje bywają prostą farsą. W czasie ogórkowym, kiedy życie polityczne nieco utyka, czasopisma rzucają próżniackie pytania między publiczność, w tym celu, aby podtrzymać zainteresowanie pismem, szpalty zapełnić, a wreszcie zadowolić liczną rzeszę tych, którzy chętnie widzą się drukowanymi. Zwłaszcza „Daily Telegraph" najbardziej rozpowszechniony, chociaż nie najlepszy z londyńskich dzienników porannych, umie to wyśmienicie. Wybiera najczęściej pytanie, nad którem jak nad kwestją wolnej woli można w nieskończoność w najrozmaitszym duchu się rozwodzić, a następnie jak rosnąca lawina piętrzą się odpowiedzi podpisane „Verus", „Pater familias", „Obywatel", „Porządek i prawo", „Doświadczony", „Matka" itp. Rozprawia się np. na temat, czy w niedzielę należy ubierać się w lepsze suknie, jaki czas najlepszy jest na śluby, jak najlepiej zapewnić sobie szczęście w małżeństwie i niewiadomo nad czem jeszcze. Daje to materjał, robi przyjemność piszącym, a ostatecznie nikomu nie szkodzi.

Wybitne stanowisko wśród czasopism angielskich zajmują pisma niedzielne, których liczba i znaczenie w latach ostatnich bardzo się wzmogły. Jak wiadomo w Anglji wszystkie dzienniki bez wyjątku wychodzą tylko sześć razy tygodniowo, rano lub wieczór. Ale właśnie w niedzielę potrzeba czytania jest największą, surowy bowiem zwyczaj purytański wzbrania w tym dniu wszelkiego podniecenia i rozrywki, zamyka teatra, sale koncertowe, i lokale zabaw, a do ostatnich czasów nawet muzea i galerje obrazów. Dla człowieka, który nie ma ochoty trzy razy na dzień chodzić do kościoła, tworzy się wielka, nudna pustka. Tu więc wkraczają pisma niedzielne, które swą

treścią i tendencją są mimowolną satyrą angielskiej niedzieli. Ukazują się najczęściej w pierwszem wydaniu już w sobotę i kosztują jednego penny, a zwracają uwagę olbrzymiemi najczęściej rozmiarami. Mimo, że zawierają mało anonsów, a drukowane są drobniutkiemi czcionkami, obejmują 16 do 20 wielkich stronnic. Polityka wszakże najczęściej usuwa się na plan drugi i tylko kilka skrajnie radykalnych, lub socjalistycznych tygodników, jak „Reynolds Newspaper“, „Weekly Times“ („Tygodniowe Czasy“) i „Echo“, reprezentując interesa robotnicze, recytują klasom rządzącym rejestr ich grzechów i z niesłychaną, a u nas niepojętą śmiałością, która na zuchwałość czasem zakrawa, atakują monarchję i jej reprezentantów.

Natomiast wiele miejsca zajmują wiadomości sportowe.

Niektóre z tygodników, jak np. „The Referee“, główny nacisk kładą na to, aby podawać wyczerpujące sprawozdania z turniejów, odbytych w ciągu tygodnia, w grze narodowej w kriketa, w football, tj. piłkę nożną itp., przynoszą obszerne artykuły o wyścigach z wysokością stawek na każdego konia i wskazówkami, tak zwanymi „tips“, dla chcących się zakładać na wyścigach.

W drugim rzędzie idą procesy o morderstwa lub złamanie wiary małżeńskiej. Sensacji-bo szuka się za każdą cenę. Pisma więc umieszczają fotografje, a nawet często autografy listów zbrodniarzy i podają interviewy z nimi. W piśmie „The People“ ukazały się w roku ubiegłym pamiętniki więźnia wypuszczonego z kryminału, w których opowiadał szczegółowo dzieje swoich fałszerstw i doświadczenia, poczynione w więzieniu. Procesy brudne i skandaliczne mają specjalny popyt. Słynną sprawy Oskara Wildego, tygodniki angielskie zajmowały się jak najdokładniej i nieoszczędzały swym czytelnikom żadnego choćby niewiedzieć jak wstrętnego szczegółu... Pieprzne skargi z powodu niedotrzymania przyrzeczeń małżeństwa, jak wiadomo specjalność angielska, dostarczają również pożądanego materjalu. (Dok. nast.).

Rozbiory i sprawozdania.

Ludwik Krzywicki. »Kurs systematyczny antropologji«. I. Rasy fizyczne. Warszawa, druk K. Kowalewskiego — Mazowiecka 8, 1897.

Autor »Ludów«, p. L. Krzywicki, rozpoczął obecnie wydawnictwo »Kursu systematycznego« antropologji — tak bardzo potrzebnego u nas dla spopularyzowania i przez to zarazem — rozszerzenia wiedzy antropologicznej, owej w wielu razach podstawy dla badań etno i socjologicznych. Dotychczas ukazała się tylko 1. część »Kursu« tj. »rasy fizyczne« — następne, zapowiedziane przez autora działy obejmować będą: 2. rasy psychiczne, 3. typy emocjonalne, 4. rasy lingwistyczne i 5. rasy etniczne, a więc wszystko z wykluczeniem t. zw. antropologji zoologicznej.

Autor — po dłuższym wstępie, omawiającym znaczenie, rozwój i stanowisko antropologji pośród innych gałęzi wiedzy ludzkiej — przechodzi w I. rozdziale do metodologji antropologicznej. Metoda jest w tej umiejętności analityczną, dążącą do rozłożenia istniejących — mieszanych typów rasowych na coraz czystsze Autor — na kilku charakterystycznych przykładach określa w popularny sposób wywód teoretyczny i również przystępnie przedstawia metodę pomiarów antropologicznych wraz z określeniem t. zw. wskaźników.

W rozdziale II. — przedstawia p. Krzywicki w krótkim zarysie obecny stan umiejętności antropologicznej, wskazując zarazem na stosunkową szczupłość statystyki pomiarowej, wskutek czego wszelkie ogólne wnioski, na statystyce tej opierające się, są albo zbyt niepewne albo też mogą się odnosić przeważnie do t. zw. »ras lokalnych«, ograniczonych znacznie przestrzennie i ilościowo.

Typy rasowe, obecnie istniejące (rozdział III.) opisuje p. Krz. na zasadzie trzech — dzisiaj przyjmowanych typów zasadniczych, tj. czarnego, żółtego i białego; zaznacza jednak słusznie, że ten najogólniejszy podział rasowy ludzkości, opierający się na powinowactwach rasowych — jest mało w nauce ustalonym, bo sprzężenia rasowe nie pozwalają dzisiaj na taką klasyfikację. Najszczegółowej opisuje autor — całkiem naturalnie typy »białe«, a między nimi specjalnie ludy słowiańskie i licznie pośród nich osiadłych — Żydów. Opisy przeplatane są statystyką pomiarów, szkicami graficznymi — mapami antropologicznymi i odnośną literaturą, co sądzę — powinno być z tekstu o tyle wydzielonem, ażeby na tem ciągłość opowiadania — tak dla popularnego przedstawienia rzeczy konieczna — nie cierpiała.

Ciekawy obrazek historji antropologicznej ludzkości (IV. typy rasowe w przeszłości) jest w »Kursie« p. Krz. tylko szkicem, ale szkicem umiejętnie ułożonym, przez co czytelnik łatwo zapoznaje się z tą częścią badań i umiejętności antropologicznej I w tym względzie zajmuje się autor obszerniej ziemiami słowiańskiemi, ale też równie — jak w rozdziale poprzednim zanadto przerywa tok opowiadania — przykładami, mapami etc.

»Kurs« (tj. rasy fizyczne na razie) kończy się krótkiem przedstawieniem klasyfikacji ras i hypotetycznych wniosków o przyszłych stosunkach rasowych.

Ocenę »Kursu« podaliśmy już powyżej: braki odnoszą się przedewszystkiem — tylko do formy literackiej, a nie treści; pierwsze łatwe są do usunięcia i sądzimy, że bardziej jeszcze -- iż się tak wyrażę — uprzystępnione przez to dalsze części »Kursu« — dopełnią całości w nader dla rozszerzenie wiedzy antropologicznej pożądany sposób.

Dr. J. K. G.

Z drukarni Z. Golloba.